

a g a
k a l i c k a

spinto

PRZYSIĘŻONY, ZA ŻYCIA SKREŚLONY,
PO KRĘS ZWIĄZANY PRZYSIĘGĄ

seria mano d'onore #3



aga
kalicka
spirito



[Kup książkę](#)

Książka zawiera sceny i opisy, które mogą wywołać dyskomfort u bardziej wrażliwych czytelników. W trosce o nich uprzedzamy, iż fabuła powieści obejmuje wątki: gwałtu, brutalnych morderstw, tortur, handlu narządami. Pojawiają się w niej też wulgaryzmy i opisy aktów przemocy.

Wcześniej

Towarzyszyła mu od dnia narodzin. Składała pocałunki na przebijających przez prześwitującą skórę żyłkach, mroząc w nich krew. Kołysała przy akompaniamencie szlochu jego zrezygnowanej, wyczerpanej ciężkim porodem matki, obserwując siniejące paluszki. Był taki niewinny. Wciąż rozkosznie ciepły, mimo że zabrała mu oddech. Gdy myślała już, że zasnął na wieki, niespodziewanie otworzył oczy. Bum. Bum. Bum. Małe, waleczne serduszko. W chwili, kiedy położnik przeciął pępowinę, a pierwszy krzyk chłopca, do złudzenia przypominający przeciągłe: „Jaaaaaa”, rozbrzmiał w sali porodowej, uciekła spłoszona, pewna, że i tak go odnajdzie.

Dorastał. Podczas gdy jego rówieśnicy wymieniali się kartami piłkarskimi i robili proce, on uczył się wycinać narządy, dbając o zachowanie ich anatomicznych struktur. Za każdym razem, kiedy pochylał się nad stołem sekcyjnym, sprawiał wrażenie nieobecnego. Zupełnie jakby to jego duch, a nie leżącego przed nim nieszczęśnika, opuszczał ciało. Każde wykonywane z wyuczoną przez lata kliniczną precyzją cięcie, naznaczenia zimnym ostrzem, pozostawiało ślad w nim samym. Żłobienia w lodowaciej skamielinie – sercu.

Czuł na karku jej oddech.

Nieraz próbował uciec, sądząc, że ją przechytrzy, lecz coraz rzadziej bywał zdziwiony, gdy poklepywała go w ramię, szepcząc: „A kuku”. Nie miała nieświeżego oddechu ani trupiobladych policzków. Pachniała słodko. I była bardzo samotna. „Na zawsze razem. Ty i ja, Spirito. Ty i ja...”, powtarzała melodyjnym głosem. Obejmowała go ramionami, ścisłała, zgniałając żebra, a kiedy wypuszczał z sykiem powietrze, był pewny, że wraz z nim uchodzi z niego coś jeszcze.

Podszedł do umieszczonej przy ścianie umywalki, ściągnął maseczkę, rękawiczki i uniósł głowę, by przyjrzeć się swojemu odbiciu w lustrze.

– Muszę stąd wyjść – rzucił w przestrzeń. – Jestem zmęczony. Mam wrażenie, że... – rozejrzał się dookoła – z każdej strony otacza mnie śmierć i wysysa ze mnie życie. Czuję jej słodki zapach. Zaraz pęknie mi łeb. – Włożył palce między włosy i energicznie potarł skórę głowy.

Uczący go techniki sekcyjnej doktor Bandetti parsknął gorzkim śmiechem.

– Użyłeś nieodpowiedniego ostrza – oznajmił, ignorując prze-myślenia chłopaka. – Następnym razem sięgnij po to z numerem cztery i tnij wzdłuż ciała, począwszy od szyi, na spojeniu łonowym kończąc. Omiń pępek – instruował. – Nie przekażę twojemu ojcu, że opowiadasz takie głupoty, ale nie chcę tego więcej słyszeć. I nie patrz na mnie w taki sposób. – Zrobił krok w tył, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały. – Za niedługo nasze spotkanie dobiegną końca. Jesteś już gotowy.

– Niby na co? Mam niecałe czternaście lat. Nie wybieram się jeszcze na studia – prychnął. – Poza tym mówiłem, że chcę zostać weterynarzem, a wy zamykacie mnie w trupiarni i na akord patroszę zwłoki.

– Weterynarzem. – Lekarz zaśmiał się w głos. – Wiesz, że to taki gość ze swoim, a nie cudzym, sercem na dłoni? – Uśmiechnął się pod nosem i wysunął z chłodni ciało dobrze znanego chłopcu psychologa. – Troska o innych to twój konik – drwił.

– Zabiłem go, bo tego chciał ojciec. Jeszcze zanim wszedłem do gabinetu, wiedziałem, że to zrobię. Taki dostałem rozkaz.

– A potem, jak gdyby nigdy nic pojechałeś do kolegi, bo umówiłeś się na nocowanie. Spłynęło to po tobie.

– Może i tak. Ale zwierzęta lubię – odparł, wzruszając ramionami. – Kończę na dziś – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu, w momencie kiedy rozbrzmiał dzwonek.

Przed wejściem do sali stała przestępująca z nogi na nogę dziewczynka. Nerwowo poprawiała zsuwającą się z czubka głowy żółtą kokardę dobraną pod kolor sukienki. Coraz mocniej uderzała pięścią w metalowe drzwi i co rusz, marszcząc groźnie brwi, zerkła w kamerę. W drugiej ręce kurczowo ścisnęła płócienny worek z troczkiem.

– Proszę otworzyć, to jak zwykle ja, Zita Belgamonte!

Spirito szybkim ruchem rozwiązał fartuch, zmiął go w kłębek i odrzucił na bok. Przykrył zwłoki, zasunął parawany i podbiegł do szafki z przyborami toaletowymi. W biegu poprawił włosy, chwycił perfumy, po czym zaczął rozpylać je w pomieszczeniu. Lekarz przyglądał się temu z nieukrywanym zdumieniem.

– Pato-zjeb – bąknął ledwo słyszalnie. – I tak jej tu nie wpuszczę. Jeszcze nie skończyliśmy, a z tego, co wiem, ojciec kazał ci omijać ją szerokim łukiem. – Założył ręce na piersi. – Stanowisz dla niej zagrożenie – dodał głośniejsze.

– Powiedziałem, że mam dość – warknął chłopak w odpowiedzi. – Ale – uniósł palec – mogę zmienić zdanie, jeśli ją wpuścisz. Pół godziny, no kurwaaa – jęknął przeciągle, próbując coś ugrać. – Obiecuję, że tym razem nic jej nie zrobię.

– Wykluczone. Nigdy nie dotrzymujesz obietnic.

Spirito źle znosił odmowy. Obdarzył lekarza przeszywającym na wskroś spojrzeniem. Był wyjątkowo spokojny, opanowany niczym mnich. Taki właśnie bywał, gdy miał w planach...

– Dobra, zgoda. Nie morduj mnie... wzrokiem. – Lekarz zaśmiał się nerwowo, a chłopak zmarszczył brwi, zaskoczony, że tak łatwo poszło. – Też potrzebuję przerwy. Macie pół godziny, ani minuty dłużej. Przyniosę nam coś do żarcia. – Ruszył ku drzwiom, ale wkrótce przystanął i obejrzał się za siebie. – Nie bądź taki zdziwiony, dzieciaku. Na to jeszcze nie czas – zakończył enigmatycznie, a przekraczając próg, gestem zaprosił Zitę do środka.

Spirito potrząsnął ramionami, na siłę próbując przybrać swobodną postawę, lecz napięcie nie ustępowało. Łada moment miał stanąć twarzą w twarz z największym *wrogiem*, zaryzykować zmianę stanu skupienia. Na własne żądanie poddać się torturom i roztopić pod ostrzałem ciepłego spojrzenia Zity – lub wręcz przeciwnie, odurzać strachem, którego nie potrafiła zamaskować nawet czerń jej oczu.

– No i dlaczego nie włączysz? – burknął z pretensją i podeszedł do drzwi. Dopiero wtedy dziewczynka wykonała krok, a szeroki uśmiech, jaki zagościł na jej twarzy, uwydatnił okolone czarnymi lokami, pyzate policzki.

– Czekałam, aż podejdziesz – odpowiedziała, nie zrażając

się jego tonem. – Nie chciałam, żebyś przestraszył mnie tak, jak ostatnio. Wolę cię widzieć. Nie zakradaj się, udając ducha.

Spirito przyjrzał się jej z uwagą.

– A co, boisz się duchów? – zapytał zaczepnie.

– Tak, bardzo – przyznała wprost.

– Ale wiesz, że mam na imię Spirito?¹

– Oczywiście. – Przełknęła ślinę. – Może dlatego czasem się ciebie boję? – rzuciła lekko i zajęła miejsce przy stoliku.

– Po co więc znów tu przysłaś?

– Miałam ochotę. A poza tym stał się cud! – wykrzyknęła podekscytowana, gdy usiadł naprzeciwko. – Chłopcy, którzy dokuczali mi w szkole, już tego nie robią. Jestem dla nich niewidzialna. Zupełnie jakbym była – zamyśliła się, a po chwili pstryknęła palcami – no właśnie, duchem.

– Z kim się zadajesz, takim się stajesz – skwitował Spirito.

– Pewnie podziały słowa: „Proszę, przestańcie”, bo powtórzyłam je aż pięć razy.

– Prędej: „Wypatroszę was jak króliki”, ewentualnie: „Jedyne, co wam się w życiu uda, to umrzeć”.

Dziewczynka zamarła, a następnie pokręciła głową z niedowierzaniem i fuknęła obrażona:

– Miałeś mi nie pomagać.

– Obiecałem, że usunę z twojej drogi wszystkich złych ludzi – przypomniał.

– Chciałam poradzić sobie sama! – Poderwała się z miejsca, po czym zaczęła krążyć po pomieszczeniu, nerwowo wymachując workiem.

Spirito obserwował tę scenę z nieukrywaniem znudzeniem.

– Skoro tak, następnym razem o nic ich nie prosz, tylko weź grabki i wbij im w oczy.

Zita stanęła przed nim i spojrzała na niego buntowniczo.

– Jestem dziewczyną, jakbyś nie zauważył – stwierdziła z wyrzutem.

– No i? Możesz wziąć różowe. – Zaśmiał się cicho.

Zita też chciała to zrobić, ale w ostatniej chwili zakryła usta, bo właśnie z powodu donośnego, nietypowego śmiechu doku-

¹ Spirito (wł.) – duch

czali jej rówieśnicy. Próbowwała chichotać jak koleżanki, lecz w efekcie i tak wiecznie zrywała boki, rżąc jak koń.

– Co masz w tym worku? – zapytał zaciekawiony Spirito.

– Ważne rzeczy. Mogę pokazać, jeśli zrobisz dla mnie coś w zamian – zaproponowała i nie czekając na odpowiedź, rozwiązała sznurek. – To tułów maskotki, którą mi podarowałeś. – Położyła go na blacie i ponownie zanurzyła rękę w worku. – A to jej główka. Oderwałam ją w złości po tym, jak z zaskoczenia uciałeś mi pukiel włosów. – Spojrzała na chłopaka z pretensją i z powrotem usiadła przy stole. – Twoim zadaniem jest połączyć te dwa elementy. Przyszyć – tłumaczyła. – Ja nie potrafię, a ty masz wprawę, bo szkolisz się na rzeźnika. – Wskazała ruchem głowy na parawany.

Spirito parsknął śmiechem.

– Kto naopowiadał ci takich głupot?

– Sama wywnioskowałam. Ostatnio nie zakryłeś narzędzi. Takie same lub bardzo podobne widziałam u pana Castello, rzeźnika. Jest tu zimno, śmierdzi środkami czystości i czymś jeszcze...

– Śmiercią – wszedł jej w słowo. – Myślałem, że szyciem zajmuje się krawiec, a rzeźnik – uśmiechnął się cwaniacko – kawałkowaniem, rozcłonkowywaniem, grzebaniem we flakach...

– Czy możesz tak nie mówić? – Zaniepokojona, odchyliła się na krześle. – Przyszyjesz czy nie? – zapytała niepewnie. – Masz igły. Je też widziałam.

Spirito wszedł za parawan. Po chwili wrócił z zestawem do zakładania szwów. Położył go na stole, sięgnął po igłę i rozpoczął „operację”.

– A dlaczego wybrałeś taką, a nie na przykład tę? Nie chcę, żebyś za bardzo poszarpał materiał. – Przyglądała się oceniająco, gdy przeciągał przez niego nić.

– Ta, którą wskazałaś, sprawdza się w chirurgii plastycznej. Igła konwencjonalnie tnąca. W tym przypadku wystarczy odwrotnie tnąca, gwarantująca optymalną penetrację tkanki. Idealna do zszywania miśków i ust gadatliwych dziewczynek. – Spojrzał na Zitę i dodał: – Wolałem, gdy tylko się na mnie gapiłaś.

– Było, minęło – wypaliła. – Już się ciebie nie wstydzę, tylko

trochę boję, ale nie zapominaj, że zawarliśmy pakt. – Dotknęła blizny na przedramieniu.

– Jak to się ma do tego, że mój ojciec wie o tym, że cię pocałem? Miałas trzymać gębę na kłódkę. Milczeć – warknęła. – Pożałujesz, że nie dotrzymałaś słowa.

– Dotrzymałam! – krzyknęła piskliwie. – Pan Beneventano zauważył nacięcie i od razu wiedział, że to twoja sprawka, ale nie potwierdziłam. Milczałam jak grób – powiedziała pewnie. – Poprosił, żebym nie mówiła o tym mamie, i zapytał, co chcę w zamian za dotrzymanie sekretu.

– Powiedziałaś, że nic? – dociekał.

Zita poruszyła się niespokojnie pod naporem jego spojrzenia.

– Nie no – sapnęła – przecież potrzeba mi wielu rzeczy, ale wiem, że twoi rodzice mają problemy finansowe, bo zmniejszyli wypłatę mojej mamie, więc wybrałam pudełko koralików i szminkę. Fajnie mieć malinowe usta.

– Wychodzi na to, że można kogoś zdradzić, milcząc. W tym przypadku przyjęcie łapówki jest równoznaczne z potwierdzeniem przypuszczeń starego. Złamałaś postanowienia paktu. Zrywam go.

– Jest wieczysty! – oburzyła się. – Nie wykręcisz się teraz! Ty i ja Spirito. Ty i ja...

Chłopak zmrużył oczy, przechylił głowę i uśmiechnął się lekko.

– Masz rację. – Złapał ją za rękę, by móc zetknąć ze sobą dwa łączące ich symbole. Wyciętą przez Zitę literę „Z” na jego przedramieniu i „S”, którym on naznaczył dziewczynę. – Pocałunek na zgodę? – zaproponował i pochylił się nad stołem.

– W policzek czy w dłoń? – zapytała.

– W usta. Podczas pocałunku zwiększa się ich ukrwienie. Będą malinowe. Lubisz takie.

– A będzie tak jak w filmach czy inaczej? Bo nigdy się z nikim nie całowałam.

– Ja też nie – przyznał. – I oczywiście. Wymyśliłem już nawet scenariusz.

– Dobrze, ale trochę się boję, ponieważ nie wiem, czego się spodziewać – stwierdziła zawstydzona.

Przez chwilę, która zdawała się wiecznością, nie spuszczała z siebie wzroku, aż w końcu zbliżyli twarze i nieporadnie zderzyli się nosami. Zita rozchyliła usta, gdy Spirito obrysowywał jej palcem. Dotknęła jego bladego policzka. Zadrżała. Przymknęła powieki, całując ją delikatnie. Pachniała trawą, świeżym powietrzem i czymś jeszcze. Nie potrafił sklasyfikować tego nieoczywistego zapachu. Nie znał go. Przygryzł jej wargę i otworzył oczy. Zarejestrował moment, w którym zdała sobie sprawę, że jest w pułapce, a zdrada to siewca obustronnego bólu.

Pierwsza ciekająca jej po brodzie krew.

Pierwszy wbity w jego plecy sztylet.

Mocniej zacisnął zęby. Zita jęknęła w boleści.

Odsunął się nieznacznie, trzymając ją za kark, by uniemożliwić jej wykonanie ruchu.

– Zrywam pakt – wydusiła, łkając żałośnie. Wargę pulsowała. Krew kapiąca na stół, mieszała się ze łzami.

– Ojejku – rzucił ironicznie. – Jakie to szczęście, że jest wieczny – przytoczył jej słowa – bo zabrzmiało groźnie.

– Już nie żyjesz – zagroziła, mimo że trzęsła się ze strachu.

Spirito przyłożył dłoń do piersi, a po chwili nią potrząsnął.

– Faktycznie chłód. Trupie serce. – Wzruszył niedbale ramionami. Chwycił dziewczynę za włosy, przyciągnął ją bliżej siebie i obdarzył lodowatym spojrzeniem. – Ty i ja, Zito – wycedził. – Ty i ja...

Przezroczysty chłopiec i strachliwa dziewczynka.

ROZDZIAŁ 1

Zita

Pięć sekund. Przez pięć pieprzonych sekund, kiedy zmateriałizował się przede mną Duch, nie byłam beznadziejnie samotna. Świetne uczucie, tyle że krótkotrwałe, a co najgorsze, uzewnętrznione. Aż za dobrze wiem, że wystarczy kilka chwil, by wyrzucić świat do góry nogami. I by zrobić z siebie cikliwą panienkę, co udowodniłam już nie raz.

„Nie jestem już sama na tym świecie. Jesteś jedynym, co znam, czemu ufam”. Kurwa. Wypowiedzenie tych *kłamstw* przyszło mi tak naturalnie, jakby były prawdą. Wystarczyło, że zobaczyłam pierwszorzędnie zakonserwowanego nieboszczyka, a opuściłam gardę, skłonna zostać fanką *Powrotu żywych trupów*. Mało tego, wykonałam już pierwszy krok wiodący ku krainie umarłych i z zapalem, którego mógłby mi pozazdrościć wzorowy eksplorator, podjęłam próbę przedarcia się przez gęstą mgłę spowijającą nie chłopca, będącego częścią mojej przeszłości, lecz mężczyznę, którym się stał.

Dotknęłam go. Wyczułam pod palcami wyżłobioną na jego przedramieniu literę „Z” i po raz pierwszy od lat zwichrzone czarne chmury zaczęły się rozstępować. Oczekiwałam promieni słońca, ukojenia trwającej tęsknoty, słów wyjaśnień, w ostateczności milczenia, jeśli wiązałoby się ze znalezieniem w znajomych ramionach, a jedyne, co otrzymałam, to przyprawiający o dreszcze powiew chłodu, gradowe kule spadające wprost na poobjaną głowę i sopel wbity w serce.

To, co dostrzegłam w oczach Spirito, było po stokroć bar-

dziej ponure od myśli, jakie zagościły w mojej głowie, gdy się zorientowałam, że jedyną zaskoczoną, niemal czołowym, zde-rzeniem z przeszłością jestem ja. Nawet nie udawał, że jest ina-czej! A mógł. Wystarczyło rozdziawić w zdziwieniu przystojną gębę, sprzedać mi wersję o przypadkowym spotkaniu, splocie dziwnych zdarzeń, będących dla mnie normą. Skłamać, że nie-strudzenie szukał swojej dziewczynki, ale nie mógł jej znaleźć, co nie byłoby dziwne, bo przecież umarła, od dawna nie ist-nieje. Uwierzyłabym! Tymczasem nie wprost, ale jednak przy-znał, że towarzyszył mi w chwilach największych słabości, będąc jednocześnie niemym świadkiem moich porażek.

Bleh. Duchy dawnych czasów bywają nieziemsko paskudne. Święty Mikołaj i jego elfy, Robin Hood i tkacze nowych rajtek. Niech spierdalają.

Zanim jednak im na to pozwolę, ten samozwańczy, nie-udolny, anioł stróż, odpowie na kilka niedających mi spokoju pytań. Zdążyłam wypunktować je w myślach podczas trwającej już trzeci miesiąc odsiadki. Przede mną kolejnych dziewięć. Niestety nie w otoczonym zielenią, mającym więcej wspólnego z domem wielorodzinnym, półotwartym katańskim ośrodkiem pe-nitencjarnym, lecz w okrytym złą sławą Zakładzie Karnym dla Nieletnich i Młodych Dorosłych w Syrakuzach.

Radiowóz podskakuje na wybojach. Niestrudzenie, z odpo-wiednią dozą nachalności, wlepiam wzrok w skrzynię biegów, licząc, że auto straci moc, coś stuknie, odpadnie i odwlekę mo-ment rozszarpania – po raz kolejny – przez macki bezdusznego systemu, ślepego wymiaru sprawiedliwości. Niezbadała jest po-tęga siły woli. Cóż, Alma najwidoczniej zaraziła mnie naiwno-ścią, a to niby ja jestem jej winna wyjaśnienia.

– Dlaczego muszę jechać w inne miejsce? – pytam, mącąc ciszę.

– Tak zdecydowała administracja. Przymusowy transfer z powodu przepełnienia zakładu – odpowiada eskortujący mnie, na co dzień pracujący w służbie więziennej, policjant. Emiliano.

– Pierdolenie. A według wersji nieoficjalnej?

– Możliwe, że jesteś wyjątkowo upierdliwą osadzoną. W ciągu trzech miesięcy twojego pobytu do urzędu wpłynęło dwana-ście napisanych przez ciebie skarg. Złożyłaś osiem wniosków

i sześć odwołań...

Wyłapuję w lusterku jego spojrzenie.

– A według wersji „między nami”? – Unoszę skute ręce, wykonując pokraczny cudzysłów w powietrzu.

Ignoruje pytanie i włącza radio. Wzruszam ramionami, wma-wiając sobie, że nieświadomość nie jest przecież taka zła. Jak się okazało, była moją najlepszą kumpelą. Do czasu pojawienia się Spirito, który bez skrupułów ją zabił. Nie dziwne, w końcu zna się na umieraniu, czego jest... żywym przykładem. Teraz, podobnie jak on, odżyła. To źle, bo jednak wołałabym wiedzieć, dlaczego znów jestem przerzucana z kąta w kąt, skoro wreszcie, po dwóch latach życia w *ukryciu*, pogodziłam się z popieprzonym losem i chciałam w spokoju odbębnić zasądzoną, lecz niesprawiedliwą karę.

Trzy miesiące temu, kiedy niemal wpadłam pod koła policyjnego wozu, z premedytacją oddałam się w ręce stróżów prawa. Nie grałam na czas, pewna, że i tak dam dyla. Chciałam zostać aresztowana. Powodem bynajmniej nie była absurdałna obawa, że jeśli nie zgarną mnie gliny, to wpadnę w łapy goniącej mnie bandy Spirito. Nie dokonałam wyboru między mniejszym bądź większym złem. Przyczyną mojej kapitulacji było zmęczenie. Psychiczne wyczerpanie, z którym na co dzień sobie radziłam, tamtego dnia okazało się nie tyle kulą u nogi, ile haratającym mózg cierniem. Musiałam odpocząć. W więzieniu mam ku temu idealne warunki, szansę na podreparowanie zbroi, zanim znów stanę w szranki z życiem i ponownie zadam sobie pytanie: „Co teraz, Zito?”. To jedno z serii tych prostszych, bo repertuar odpowiedzi jest ograniczony. „Nie mam pojęcia” i „Jakoś to będzie”. Słabo.

Umiem przetrwać, ale nie wiem, jak żyć. Och, kurwa, to jeszcze bardziej żałosne.

Siła to ja! Nie chce być inaczej, więc najwyższa pora przestać się rozczulać. Nieprzemyślany ruch, nieodpowiedni wyraz twarzy, ukazanie słabości, przystępniejszej strony osobowości – to tylko niektóre z kroków prowadzących do zagłady. Tor bez przeszkód. Tyle wystarczy, by zostać wykorzystaną lub stać się martwą. A to, że oddycham i wciąż potrafię znaleźć powód, by

szczerze rzeć ze śmiechu, oznacza, że całkiem niezła ze mnie zaklinaczka rzeczywistości.

Zita czarodziejka.

Chciałabym umieć wyczarować sobie...

– Nad czym tak dumasz? – Z rozmyślań wytrąca mnie głos policjanta. – Byłaś kiedyś w Syrakuzach? Gdy już wyjdiesz na wolność, polecam zwiedzić Ortigię, starą część miasta. To wyspa, ale połączona z Sycylią mostem. Nieźle, co?

Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Zgrywasz idiotę lepiej niż przewodnika. – Pochyliam się w jego stronę i zerkam przez oddzielającą nas kratkę. – Na fotelu pasażera leżą mój worek i teczka z aktami. Musiałeś się z nimi zapoznać, bo sprawujesz nadzór nad osadzonymi. Doskonale wiesz, że znam to miasto na wylot. Nie pogrywaj ze mną w ten sposób. Łączę fakty szybciej, niż ty walisz konia.

– Nie musisz być wulgarna.

– Wiem, co muszę, a czego nie. Ostatnią osobą, która będzie mnie pouczać, jest gliniarz udający, lub nie, debila, sądzący, że ma do czynienia z kimś równie ograniczonym.

– Dobra, nie było tematu. Odsuń się i milcz – zarządza, machając lekceważąco dłonią. – Ciekawe, jak będziesz śpiewać po kilku dniach spędzonych w krwawych murach, bo tak właśnie nazywamy miejsce, do którego cię wiozę. Wydaje mi się, że bardzo, bardzo cienko – stwierdza z nieukrywaną satysfakcją.

Wybucham śmiechem.

– Słyszysz mój głos? Aż podskoczyłeś, gdy się zaśmiałam. Ozłocę osobę, która sprawi, że będę piszczeć jak słodki kurczaczek, a nie piąć jak kogut.

– Nie masz już forsy.

Co on tam wie.

– Składałam obietnicę, bo wiem, że wywiązanie się z niej nie będzie konieczne. Z całą pewnością nie będę drugą Renatą Tebaldi.

– Kim?

– Włoską śpiewaczką operową. Poszerz horyzonty – zalecam.

– Dogryzanie kobiecie w trudnym położeniu, sugerowanie jej, że czeka ją wpierdol, czyni cię chujem.

Następuje głucha cisza. Emiliano mocniej zaciska ręce na kierownicy, pewnie rozważając odstrzelenie mi łba. W końcu wzdycha przeciągle, jakby zdecydował jednak odrzucić na bok mordercze wizje rozprawienia się z krnąbrnym tworem wadliwego systemu – mną. Nie z Zitą, dziewczyną, kobietą, lecz bezosobową jednostką.

– Muszę odebrać – informuje, gdy rozdzwania się jego telefon. Sapie nerwowo, zjeżdża na pobocze i odpina pas. Chrząka kilkukrotnie i pociera dłońmi o uda.

– Możesz dać na głośnomówiący – sugeruję, nie potrafiąc zamaskować ciekawości. – Dlaczego nagle zbladłeś i wyglądasz, jakbyś za moment miał wyzionąć ducha? Mam nadzieję, że tu nie kipniesz, bo, znając życie, będzie na mnie.

– Zamknij się w końcu – warczy i wysiada, zostawiając lekko uchylone drzwi.

Wyteżam słuch. Szum przejeżdżających aut znacznie utrudnia podsłuchiwanie. Do moich uszu docierają pojedyncze słowa, aż wreszcie...

– Postraszyłem ją krwawymi murami. Musiałem! Świętego wyprowadziłaby z równowagi! – krzyczy, kopiąc w złości kamyk. – Co? Jakim znów klejnocikiem? Czy chcę na ten temat podyskutować z twoim szefem? Dobra, dobra, przyznaję. Pieprzony diamencik. Cudowna osoba. I do tego miła. Naczelnik odpalił mi psią dołą. Dostanę od was coś ekstra? – dopytuje. – Słucham? Powiedziałeś „wpierdol”? Halo? – Odsuwa komórkę od ucha, a po chwili przykłada ją z powrotem i ponawia pytanie: – Halo?

Emiliano drapie się po czole, sprawiając wrażenie zmieszanego, po czym zajmuje miejsce kierowcy. Zanim rusza, odwraca się w moją stronę.

– Jak coś, nie rozmawiałem o tobie, tylko o innej osadzonej – tłumaczy, mimo że nie drążę tematu. – Wszystkie was straszę tym samym. Ale do rzeczy. Będąc na zewnątrz, ochłonałem. Wiem, brzmi nieprawdopodobnie, bo żar leje się z nieba, ale wszędzie dobrze, gdzie cię nie ma. To znaczy, źle to sformułowałem – mota się. – W sensie przemyślałem to i owo. – Nabiera powietrza. – Przepraszam.

– A za co?

– No, byłem wścibski i chciałem podstępem zmusić cię do zwierzeń na temat twojej przeszłości w Syrakuzach, bo akta, którymi dysponuję, są niekompletne – oznajmia, nie kryjąc zawodu. – Dodatkowo składałem nieme modły, żeby ktoś spuścił ci łomot. Jest w tobie coś takiego, co działa mi na nerwy.

Wzdycha, odpala silnik i włącza się do ruchu.

– Słyszałeś o zasadzie lustra?

– Nie, ale zaraz pewnie usłyszę – burczy.

– W skrócie, dostrzegasz we mnie wyparte części swojej osobowości. Cechy, jakich w sobie nie akceptujesz lub te, które chcesz ukryć – mówię. – Jestem twoim lękiem lub pragnieniem – dodaje ciszej.

– Udam, że nie dosłyszałem ostatniego. Gdy mówisz to ty, mam ciarki. Dosłownie czuję pełzający po plecach dreszcz niepokoju. Na pewno cię nie pragnę. – Wzdryga się.

– Rety, nie chodzi o pociąg fizyczny do danej osoby, ale o wewnętrzne pragnienia. Wymień, czym cię drażnię.

– W życiu nie słyszałem większych bzdur, ale dobra... Jesteś za głośna, za bardzo towarzyska i pewna siebie. Mówisz chyba wszystko, co przyjdzie ci do głowy. Żeby tego było mało, wiecznie się cieszysz, a przecież nie masz z czego. I co ty na to? Jakie części osobowości niby wyparłem? – prycha z politowaniem.

– Jakaś cząstka ciebie także chciałaby taka być. Nie potrafisz się otworzyć na ludzi. Jesteś wkurzony, bo ja nie mam z tym problemu. Przychodzi mi to z łatwością. Zamiast biadolić i zazdrościć radości życia lasce, która nie ma nikogo i niczego, po prostu nad sobą popracuj – proponuję mu. – Skoro już wiesz, w czym rzecz.

– Dzięki. Na pewno interesuje mnie opinia niedoszłej pomocy kuchennej. Trudność sprawiło ci ukończenie kursu obierania ziemniaków. Wyższa filozofia, co? – pyta z przekąsem. – Widziałem dyplom. Zająłeś ostatnie miejsce w konkursie wieńczącym szkolenie, tym samym zdobywając tytuł „szalonej obieraczki” i przekreślając swoje szanse na zatrudnienie w wieziennej kuchni.

– Aaaa – rzucam przeciągle. – Teraz rozumiem jeszcze więcej.

Dodatkowo nie lubisz być poddawany ocenie i jesteś niedowartościowany. Umniejszasz mi, choć przed momentem byłeś ciekawy mojego zdania. To tylko dowodzi, że mam rację. Skupiłeś się na tym, co mi nie wyszło, pompując w ten sposób własne ego.

– Gdyby nie to, że zaraz będziemy na miejscu, przysięgam, że wywaliłbym cię z auta – warczy w złości i robi głęboki wdech. – Nie, jednak nie mógłbym tego zrobić – mówi głucho. – I dlatego, z tej bezsilności, mam ochotę walić łbem w kierownicę. Zepsułaś mi dzień! Mam wszystkiego dość.

– Wkurzasz się, bo trafiłam w sedno – odpowiadam spokojnie. – I rety, skończ. Może się jeszcze popłaczesz? Nie znoszę takiego rozczulania się nad sobą. Robisz z siebie ofiarę losu, a przecież tylko rozmawiamy. Weź się w garść, człowieku.

Na chwilę odwraca głowę w moją stronę. Na jego twarzy pojawia się trudny do rozszyfrowania uśmiech.

– I tu cię mam. – Pstryka palcami. – Zajarzyłem zasady tego psychologicznego bełkotu. Najpewniej zupełnie przypadkowo, bo oczywiście świadomie nie pozwoliłabyś sobie na zdemaskowanie, odśloniłaś przede mną swoje lęki. Ofiara losu, rozczulanie, biadolenie. Chcesz być postrzegana jako osoba twarda, idąca przez życie przebojem, a tymczasem emanująca od ciebie siła jest jedynie twoją tarczą, ochroną przed zranieniem. Być może jesteś wrażliwa, ale wyparłaś tę cechę. Dlaczego? – rzuca w przestrzeń. – Odpowiedź zapewne znajduje się w szczegółowej dokumentacji, ale ta ulotniła się z twoich akt niczym duch. I co ty na to?

– Oho, chyba dojechaliśmy! – Opieram dłonie o szybę i wpatruję się z przesadnym zafascynowaniem w otoczony wysokim murem wielokondygnacyjny budynek pokryty żółtą, wypłowiałą farbą.

– Czyli mam rację.

– Co mówisz? Ledwo słyszę, bo puls dudni mi w uszach – przekonuję. – Z ekscytacji oczywiście. – Wolę dodać, bo gotów pomyśleć, że ze strachu. – Dobra, dajesz. Szybciej wejdę, szybciej wyjdę.

Gdy tylko wypowiadam te słowa, rozsuwa się brama i nieśpiesznie wjeżdżamy na teren wypielęgnowanego dziedzińca.

Cudnie. Niemal jak w bajce. Tuż przed tym, kiedy wilk postanawia wpieprzyć babcię.

Rewir administracyjny instytutu oddzielony jest od części „rekreacyjnej” metalową siatką. Zgrupowały się przy niej ciekawskie osadzone, co nie jest zaskoczeniem, bo to samo praktykowałyśmy z dziewczynami z katańskiego, a wcześniej turyńskiego zakładu, w którym spędziłam nastoletnie lata.

– Niestety mają teraz czas wolny – mówi gliniarz, zerkając przez szybę, a potem unosi głowę. – Ale masz minę. Jak gladiator przed wejściem na arenę. – Wyłapuje moje spojrzenie w lusterku. – Żartowałem wcześniej. Bójki zdarzają się tu rzadziej niż akty samookaleczenia. W ubiegłym roku odnotowano dwa samobójstwa. Poza tym nudy.

– Nie potrzebuję pocieszenia. – Kopię w siedzenie. – Otwieraj drzwi – rozkazuję, dostrzegając stojący przy wejściu do budynku komitet powitalny. Kobiętę w kitlu i zapewne dowodzącego tym cyrkiem dobrze zbudowanego mężczyznę.

– Nie musisz tak wierzyć. One i tak tego nie widziały. – Wskazuje na osadzone. – Mogłaś szarpać kratkę, czyli zrobić to samo, co wtedy, gdy przywieźli cię do Katanii. Pomyślałem wówczas, że niezła z ciebie furiatka. Dziś, dzięki metodzie lustra...

– Otwieraj! – Robię, co zasugerował, nie dając mu dokończyć. – Te z lewej. Chcę się przywitać z koleżankami – dodaję ciszej.

– Wiadomo. Uzupełnię w tym czasie protokół przekazania – informuje. – Zabrzmiało, jakbyś była rzeczą, ale wiesz, o co chodzi. – Odwraca się i patrzy mi prosto w oczy. – Powodzenia. I no – przełyka głośno ślinę – zyskujesz przy bliższym poznaniu.

Słodko.

I żałośnie.

– Zakochałeś się? Może uciekniemy razem w stronę zachodzącego słońca? Podobno świetnie robię laskę. Nie będziesz żałował. – Teatralnie trzepoczę rękami.

– Chryste – kwituje i wysiada, by mnie wypuścić.

Wystawiam nogę na zewnątrz. Osadzone gwizdzą, śmieją się, buczą. Słaba siła rażenia. Pociski niebędące w stanie przebić się przez mój pancerz. Prostuję plecy, przyklejam szeroki uśmiech i taksuję wzrokiem otoczenie, aż w końcu ją dostrzegam. Oto-

czoną koleżankami królową tego balu. Wybucham śmiechem, gdy nasze spojrzenia się krzyżują. Prowokuję, wiedząc, że bierność z góry stawia mnie na przegranej pozycji. Są bitwy, które po prostu trzeba zainicjować, a co najważniejsze wygrać je, nawet gdy wzięcie w nich udziału jest ostatnim, czego się pragnie.

Nie umiem obierać ziemniaków, ale potrafię liczyć. Korona jest jedna.

Dziewczyzna, co oczywiste, bo była świeżynka, za jaką mnie ma, nie będzie pluła jej w twarz, podchodzi bliżej siatki. Wiele o niej mówi to, że ogląda się za siebie, chcąc mieć pewność, że do zmagania z nowo przybyłą policyjnym rydwanem, uzurpującą sobie prawo do władzy Zitą Belgamonte, nie stanie sama.

Buntowniczo unosi brodę i wypala:

– Radzę ci uważać, kogo prowokujesz, lesbo. – Porusza energicznie głową, zarzucając na ramię włosy spięte w kitkę.

– Tak, tak, bo nie dożyję jutra. – Uśmiecham się litościwie.

– Zgadłaś. Nie z takimi chojraczkami dawałyśmy radę. – Zerka na koleżanki, które niemo potakują. – Nie cwaniakuj, tylko się zastanów, co możesz mi dać, żeby przez pewien czas zapewnić sobie spokój i ochronę.

– Aaaa – rzucam, jakby nagle mnie olśniło – bo jeśli niczego ci nie ofiaruję, to klękną miasta, runą mury, spłoną drzewa, a rzeki spłyną czerwienią?

– Co? Nie. O czym ty mówisz?

Wszystkie się śmieją.

– Gdybyś miała taką moc sprawczą, mooożeee – przeciągam głoski – rozważyłabym propozycję. Przed czym w takim razie chcesz mnie chronić?

– Przed tym, co zwróciło twoją uwagę. Spośród tylu osób – rozgląda się dookoła – to właśnie na mnie zatrzymałaś wzrok. Wiesz, że ja tu rządzę, więc tańcz, jak ci zagram, albo czas, który tutaj spędzisz, będzie najgorszym w twoim życiu.

To miałoby sens, gdyby nie jeden drobny szczegół, z góry skazujący ten arcyłotrowski plan na porażkę. Nie boję się tego, co znam. Najgorszy czas w moim życiu? Litości.

– Zwróciłam na ciebie uwagę, bo spodobał mi się twój kokon – mówię i wzruszam ramionami, na co marszczy brwi w nie-

zrozumieniu. – Wiesz, ten utworzony przez służki. – Celowo używam tego określenia i kontynuuję, patrząc na jej koleżanki: – Bez obrazy. Może jesteście nimi tylko na pierwszy rzut oka. Same wiecie najlepiej, czy w tej relacji otrzymujecie tyle, ile dajecie. – Uśmiecham się miło. – Zresztą, co was będę pouczać. Na pewno znacie swoją wartość i daleko wam do szablonowych idiotek. Nie przechowujecie jej prochów – wskazuję na przywódczynię – bo sama woli nie ryzykować dodatkowymi zarzutami w razie trzepania cel, nie oddajecie swoich racji żywnościowych i wypracowanej kasy – dodaję, ponieważ oczywiste, że to robią. – Łącząca wasz zespół więc jest szczerą i wyjątkową...

– Zamknij mordę! – Dziewczyna uderza w siatkę, furcząc w złości. – Nie słuchajcie jej. – Zerka na swoje towarzyszki, ale te mają nietęgę miny.

Wkrótce je uszczęśliwię. Za dwa desery w tygodniu, robienie mi prania i pięćdziesiąt euro miesięcznie od głowy, będę ich więzienną wróżką. Trochę wysiłku, zaklęć z poradnika *Szkoła życia* i nawet nie pojmą, że zamieniły siekierę na kijek. Dobro, zło, wyrzuty sumienia lub ich brak – to wszystko przestaje mieć znaczenie, gdy w grę wchodzi przetrwanie.

Zasadami się nie najem. Też żałuję.

Przybliżam się i staję z nią twarzą w twarz.

– Tak zasiewa się ziarno buntu – szepczę. – Daj mi kilka dni. Kokon rozpadnie się na twoich oczach. Na pewno wiesz, jak działają prawa natury i przed czym ochrania on mięczaka. Masz pojęcie? – pytam, lecz milczy. – Przed drapieżnikami – odpowiadam za nią.

– Już po tobie – syczy, zapluwając brodę, po czym ucieka wzrokiem w bok i spłoszona odsuwa się od ogrodzenia. Zanim odejdzie, kieruje palce na swoje oczy, a potem na mnie, dając mi do zrozumienia, że powinnam mieć się na baczności.

Okręcam się na pięcie. W naszą stronę zmierza mężczyzna, który wcześniej stał przy wejściu.

– Idzie tu jakiś gość – mówię cicho, gdy podchodzę do siedzącego w aucie ziewającego policjanta. – Chyba będziesz miał kłopoty.

– Chyba nie – odpowiada w podobnym tonie.

– Każdy głupi by spostrzegł, że za długo wypełniasz te dokumenty, o ile w ogóle. Działasz na moją korzyść i świetnie, ale skoro tak, to mogłeś bardziej przyłożyć się do stwarzania pozorów – pouczam go. – A ty tylko siedzisz i wpatrujesz się w kartki. Powinieneś chociaż udawać, że interweniujesz i nie pozwalasz mi na rozmowę z dziewczynami.

– Jezus, ale jesteś męcząca – sapie, przecierając twarz dłońmi.
– Po pierwsze, nikogo to nie obchodzi. Po drugie, umknęło mi, że wdałaś się w pyskówkę z osadzonymi, bo przecież wypełniałem papierki. Nie mam takiej podzielności uwagi. I wreszcie po trzecie, to samo, co po pierwsze.

Właśnie dlatego nie znoszę, kiedy ktoś wyświadcza mi przysługę. Jak niby mam się odwdziżyć? Najchętniej zaproponowałabym coś w zamian, by uniknąć emocjonalnego rozbitcia. Problem w tym, że nie posiadam nic, co miałoby dla kogoś jakąkolwiek wartość. Mogę odpłacić uśmiechem pocieszenia, gdy lada moment straci pracę, bo poszedł mi na rękę. Bieda.

A nawet i nędza, ponieważ do samochodu podchodzi wspomniany, wyraźnie zniecierpliwiony, na oko trzydziestoletni mężczyzna. Od razu widać, że jest tu szychą. Ma zacięty wyraz twarzy, skórę muśniętą słońcem, a emanującą od niego pewność siebie, uznałabym za onieśmielającą, gdybym nie była... sobą. Wzdycham w duchu. To zapowiedź męczących, bardzo długich dziewięciu miesięcy.

– Dzień dobry, jestem naczelnikiem instytutu, Luigi Be... Ba... – kaszle – Oliveto – oznajmia i kilkakrotnie uderza w dach.
– Poczekajcie w korytarzu – zwraca się do policjanta, który wysiada z ociąganiem. – Później gdzieś cię ulokuję – mówi, zerkając na mnie. – Nie mam wolnych miejsc, więc trzeba dostawić łóżko.

– Jak to nie ma miejsc? Tutaj podobno są. W Katanii jest przepełnienie – rzucam, obdarzając gliniarza sugestywnym spojrzeniem, bo ewidentnie wciskał mi kit, ale ucieka wzrokiem. – W takim razie chodźmy. – Ruszam przed siebie. – Po badaniach poproszę o kartkę i długopis. Chcę złożyć wniosek o przeniesienie.

– Zaczyna się – jęczy Emiliano.

– Po jakich badaniach? – pyta naczelnik. – Zaliczysz spo-

tkanie z psychologiem. Niczego innego dla ciebie nie zaplanowałem.

Prycham pod nosem, czym zaskarbiam całą jego uwagę. Przy staje, więc też to robię.

– Posłuchaj, Luigi – zwracam się do niego po imieniu, skoro pozwolił sobie na to samo. – Możesz planować, w jakim miejscu przeleciś wieczorem ukochaną, ale na pewno nie to, co czeka mnie na etapie przyjmowania do placówki – oznajmiam, na co wytrzeszcza oczy. – Musisz przestrzegać procedur. Znam swoje prawa i twoje obowiązki, więc albo pojawi się tu zaraz ta lekarka, z którą rozmawiałeś wcześniej, by zrobić mi badanie krwi, testy na wirusowe zapalenie wątroby, gruźlicę i HIV, albo poproszę dwie kartki. Za jednym zamachem złożę wnioszek oraz skargę.

– To na pewno jeszcze nie koniec – wtrąca policjant. – Ona jest z tego znana. – Niemrawo wskazuje na mnie ruchem głowy. – Udaje taką wyluzowaną, ale trybiki pracują. Już kilka razy wysępiła odszkodowanie za naruszenie jej wolności sumienia i wyznania.

– Jak to? – dopytuje naczelnik.

– Zwyczajnie. Zmienia religię, gdy ma ochotę na urozmaicenie więziennych posiłków, ale jak to udowodnić? – zadaje sobie pytanie i kontynuuje: – Ostatnio obchodziła Chanukę. Zażyła sobie pączki zwane kulkami światła, paski kurczaka i placki. Później przeszła na islam, więc poleciała pierwsza skarga, bo naczelnik kazał jej kultywować swoje przekonania w celi, a katolicy mają kaplicę na terenie zakładu. Kucharz zaserwował jej wieprzowinę na obiad, jeb, druga skarga. Obie rozpatrzone z korzyścią dla niej. Za krótko u nas siedziała, więc nie zdążyła się rozkręcić tak, jak robiła to w Turynie, gdzie spędziła ponad cztery lata. Znajomy, który tam pracuje, opowiadał mi, że u nich udzielała porad prawnych obcokrajowcom. Brała dwadzieścia euro za napisanie pisemka w ich imieniu, a jeśli uznawała, że sprawa jest skomplikowana i musiała się doszkolić w przepisach, to czterdzieści. Nie muszę dodawać, że nagle wszystkie sprawy takie były. Zanim służba więzienna się zorientowała, o co dokładnie chodzi w tym procederze, zdążyła już wypchać materac forszą i...

– Dobra, zamknij się w końcu – przerywam mu. – Nikt nie

chce tego słuchać.

– Nie, dlaczego? – pyta naczelnik, nieudolnie maskując uśmiech. – Dokończ.

– No więc uzbierała kasę, przekupiła kobietę pracującą w sekcji depozytowej, żeby odzyskać worek ze swoimi fantami, a potem zapisała się na konkurs „Radosne śpiewy poza kratami”. Ostatecznie dostała zgodę na jednodniowe opuszczenie ośrodka wraz z wychowawcą i – przerywa na moment, rzucając mi przelotne spojrzenie – nigdy więcej tam nie wróciła. Poddusiła opiekuna waszym łańcuchem, a następnie...

– Jednak zamilknij – wypala Luigi.

– Ulotniła się na dwa lata – kontynuuje Emiliano, nie zważając na polecenie. – Potem wylądowała w Katanii, a teraz u ciebie. A tak w ogóle to coś wam jeszcze powiem...

– Stul już, kurwa, pysk – syczy mu do ucha naczelnik i zaciska szczękę.

ROZDZIAŁ 2

Zita

Zaskoczona nagłą zmianą atmosfery, a przede wszystkim przemianą, jak się okazało, jedynie pozornie zrównoważonego naczelnika, popycham go na tyle mocno, na ile jest to możliwe, mając wciąż skute ręce, i krzyczę:

– Hej, nie odzywaj się do niego w ten sposób! A ty – mówię do policjanta – nie rozporządzaj moim mieniem! Różaniec jest m-ó-j – literuję. – Dlaczego powiedziałeś „waszym łańcuchem”?

Z jego twarzy schodzą wszystkie kolory.

– Jezu, przepraszam. – Przykłada dłonie do ust i wpatruje się z przerażeniem w Luigiego. – Czasem, jak coś chlapnę. To znaczy – tym razem zerka na mnie – ja się przejęczyłem. Zamiast „własnym” powiedziałem „waszym”. Bezsens.

Nie jestem przekonana, czy kontynuować tę dyskusję, bo odkąd popchnęłam naczelnika, coś się zmieniło. Żył na skroni pulsuje mu niebezpiecznie, a jego spojrzenie to kotłowisko sprzecznych emocji; połączenie wściekłości z niedowierzaniem, pretensją, trudnym do zrozumienia wyrzutem. Najwidoczniej nie tylko ja wyczuwam to unoszące się w powietrzu napięcie. Emiliano rusza w stronę budynku, więc postanawiam wziąć z niego przykład. Kiedy wykonuję krok, Luigi chwyta mnie za ramię, wbijając w nie paznokcie. Mocno.

– Yyy, będzie to spotkanie z lekarką czy nie? – zagajam głupio, gdy nie zważając, że zapieram się piętami, ciągnie mnie za sobą.

– Jeśli jeszcze raz, kiedykolwiek, pozwolisz sobie na tego rodzaju reakcje w stosunku do mojej osoby, nie będziesz potrze-

bowała pielęgniarki, tylko szybkiej interwencji chirurga – mówi tonem bez wyrazu, patrząc przed siebie.

– Nie możesz mi grozić połamaniem kości. Wpychanie osadzonych w objęcia stanów lękowych jest wbrew przepisom. Wędług wytycznych Europejskiego Trybunału...

– Źle mnie zrozumiałeś – wchodzi mi w słowo. – Miałem na myśli zimnego chirurga, ostatniego świadka śmierci.

Gdyby nie to, że Luigi mocniej zaciska chwyt, jednocześnie przyspieszając, na bank stanęłabym jak wryta.

– Jeszcze lepiej, teraz grozisz mi śmiercią?

– Powiedziałem, że będziesz potrzebowała jego pomocy, a nie, że dosłownie spojrzysz w twoje złęknione – mówi z nutą ironii – wewnątrz.

– Więc moją ostatnią deską ratunku, w razie jakbym się zdecydowała jeszcze raz cię popchnąć, jest gość zajmujący się tru-pami?

– Tak wyszło.

Kręcę głową, bo już zdążyłam się zorientować, że ma on nierówno pod kopułą, a poszukiwanie sensu w jego słowach jest zwyczajną stratą czasu. Uchyła przede mną drzwi instytutu. Wchodząc do środka, rozmasowuję bolące ramię i rozglądam się dookoła. Moją uwagę zwraca panujący tu spokój. Przy wejściu znajdują się punkt pierwszego przyjęcia obsługujący zatrzymanych, którzy dopiero oczekują na decyzję sądu, oraz sekcja de-pozytów. Stoi przy niej czekający na mnie Emiliano.

– Jeszcze nie byłam w takim dużym ośrodku. – Zerkam kątem oka na Luigiego. – Dlaczego tu jest tak cicho? W Katanii było głośno jak w ulu. A w Turynie nikt nawet nie zauważył, że całą noc spędziłam na boisku, całując się z chłopakiem przez siatkę. Poznaliśmy się korespondencyjnie, ekstra, co? – pytam, na co on, zamiast odpowiedzieć, jedynie się krzywi. – To dla niego ucie-kłam, ale nam nie wyszło.

– Wiem – rzuca bez zająknięcia, więc obdarzam go pytającym spojrzeniem. – Wiem, że tak tam właśnie jest. A cicho, bo ważne są dla mnie...

– Prawo i porządek – przerywam mu, czytając napis na ta-bliczce umieszczonej przy schodach prowadzących na piętro. –

Zgadłam?

– Wybieram lewo, ale porządek jest ważny. – Mruga do mnie żartobliwie. – Złóż rzeczy do depozytu. – Wskazuje na kon-tuar. – Ubrania, których nie będziesz używać, parasolki, buty na obcasie zostaną wpisane do księgi rzeczy własnych. Podobnie jak dokumenty i metryka. Dopilnuj, żeby wszelkie pieniądze, kosztowności, papiery wartościowe zostały dokładnie opisane w księdze kontowej depozytów.

– To znaczy, ja mam tylko to, co w worku – oznajmiam i cóż, trochę mi niezręcznie. – Mało mam, ale to, co posiadam, jest cenne – dodaję hardo. – Jeśli coś zginie...

– Niczego nie stracisz, spokojnie. Będę warował przy twoich rzeczach dzień i noc.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że nie. Co z tobą? – Luigi śmieje się w głos.

Dzięki, Almo. Wirus łatwowierności nieźle sobie ze mną po-czyzna. Na szczęście odtrutkę, skuteczne antidotum, by zwalczyć go w zarodku, mam na wyciągnięcie ręki. Jest nim „samo życie”.

– A dowiem się, co znajduje się na poszczególnych piętrach?

– Niby po co? Długo tu nie zabawisz – wypala i szybko do-daje: – W sensie dziewięć miesięcy to krótko. Dobra. – Nabiera powietrza i z rezygnacją je wypuszcza. – Na parterze mieszczą się biura administracji, izolatka, stołówka, pawilon zatrzymań, teatr pełniący też funkcję kina, pralnie, sale lekcyjne i labora-toria, gdzie odbywają się szkolenia zawodowe. Dzięki dofinan-sowaniu ze środków prywatnych wszystkie wyposażone w pro-fesjonalny sprzęt, umożliwiające osadzonemu nabycie umiejęt-ności praktycznych.

– Nie skorzystam. Skończyłam szkołę i wszelkie możliwe kursy zawodowe, jakie oferował zakład w Turynie. Chyba że czymś mnie zaskoczą – rzucam, niedbale wzruszając ra-mionami.

– Czymś na pewno – kwituje naczelnik. – Pierwsze piętro zajmują kobiety, drugie nieletni, których obecnie mamy sześciu, a w lewym skrzydle – wskazuje – umieszczeni są mężczyźni.

– O, super. W końcu jakieś urozmaicenie. – Szczerzę się od ucha do ucha. – Zawsze byłam w ośrodkach kobiecych. Może

ktoś wpadnie mi w oko. Lubię czuć ten dreszczyk niepewności i podniecenia, muśnięcia palców i żar pocałunków...

Luigi patrzy na mnie jak na kosmitkę.

– Z wymienionych, jedyne, co mogę ci zagwarantować w najbliższym czasie, to dreszczyk niepewności. – Uśmiecha się pod nosem i pochyła, szepcząc mi do ucha: – I strachu.

– Nie jestem strachliwa – mówię, ale wbrew zamiarowi, bez przekonania.

– Tak czy siak, nie licz na miłosne uniesienia. – Sprowadza mnie na ziemię. – Wspólnie jecie tylko posiłki. Poza tym się nie widujecie. Żadnego *love story* nie będzie.

W tonie jego głosu nie ma cienia niepewności. To dziwne, bo przecież każdy wie, że potęgą siły miłości i wzajemnego przyciągania jest tak niezbadana, jak wyroki wymiaru sprawiedliwości. A żeby było śmieszniej, choć to bardziej śmiech przez łzy, żadne „na pewno”, mimo że Luigi wypowiedział je pewnie, nie istnieje. Podobnie jak „na zawsze”, „nierozzerwalnie”, a także, tu pieprzone zaskoczenie, „ty i ja”.

To trochę smutne.

I wkurwiające, bo nieświadomie znów wkroczyłam na grząski grunt, najcieńszą taflę lodu, po jakiej dane mi było stąpać. Moje myśli ponownie krążą wokół Spirito. Próbuję je rozproszyć, nie rozkładać na czynniki tego, że nie wykorzystałam szansy na konfrontację z nim. Już i tak codziennie analizuję nasze, dla mnie zaskakujące, spotkanie, a im dłużej to robię, tym więcej rozumiem. Zwiąłam przed przeszłością.

Czuć na karku jej oddech, ponosić konsekwencje w dużej mierze nie swoich wyborów, poniekąd pogodzić się z niemożnością cofnięcia czasu, nieodwracalnością straty, to zupełnie coś innego od stanięcia z nią twarzą w twarz. Nieporównywalnego. Na to nie byłam przygotowana.

Uciekłam nie pierwszy raz, przyznaję, lecz to on pierwszy się ukrył.

Na tyle skutecznie, że nie widziałam go, nawet gdy spojrzałam mu w oczy. Nie dostrzegłam w nich tego, co znałam i czemu, co komicznie absurdałne, bo, jako dzieciak był konkretnie szajbnięty, ufałam. Mimo to zawsze o mnie dbał i chronił.

Jak nikt później. Jak nikt po nim.

I chociażby dlatego muszę stawić czoła temu, czego najbardziej się obawiam. Prawdzie.

Odnaidę mojego przezroczystego chłopca. Gdziekolwiek jest. Znajdę go. Powodem bynajmniej nie jest wiążąca nas obietnica. Dziecinne, czcze gadanie. Wieczysty pakt. To nawet brzmi śmiesznie. Jestem po prostu namolna.

Luigi potrząsa mną mocno.

– Często tak się zawieszasz? – pyta z pretensją. – Mówiłem, że masz podejść do okienka depozytowego.

– Już idę, po co te nerwy? Zamyślić się nie można?

– A o czym rozmyślałaś?

– Nie twój interes. Spętaliście moje ciało – unoszę skute ręce – ale myśli są wolne. Mogą sobie hulać to tu, to tam. – Poruszam palcami. – Nic ci do tego. Jesteś za cienki w uszach, żeby udźwignąć ich ciężar.

– Masz prawo się mylić – stwierdza oschle, po czym spogląda na zegarek i popycha mnie w stronę stanowiska.

Emiliano rozwiązuje mój worek i wyklada na blat znajdujące się w nim skarby. Reklamówki, szeleszczące siateczki, przybory toaletowe i sfatygowaną maskotkę.

– W tej jednorazówce są moje rzeczy osobiste. Od razu może mi ją pani dać – zwracam się do obsługującej kobiety, która wszystko dokładnie przetrzepuje. To źle, ponieważ dostrzegam prześwitujący przez folię różaniec. – Wolę, żeby moje majtki nie były obmacane – dodaję, chcąc ją zawstydzić, odwrócić uwagę, bo wtedy jest szansa, że zostanie przeoczony.

Marzenia ściętej głowy. Wyjmuje go i delikatnie, niemal z namaszczeniem, odkłada. Na końcu języka mam już przyszykowaną przemowę pochwalną na temat wyjątkowego profesjonalizmu obsługi zakładu, ale na szczęście w porę się w niego gryzę. Naczelnik bez ceregieli zgarnia łańcuch i wrzeszczy:

– Co to, kurwa, jest?!

Wzdycham z rezygnacją. Poziom ogarniania, jaki prezentuje, jest skrajnie niski.

– Mówię na to – akcentuję ostatnie słowo – różaniec, bo kiedy go znalazłam, był pokryty różową farbą. Teraz kolor trochę się

wytarł, ale to nawet lepiej. Jest mniej dziewczęcy. – Wzruszam ramionami. – Splot cardano. Jako ciekawostkę dodam, że nazwa pochodzi od wálka Cardana. Służy on do przenoszenia napędu ze skrzyni biegów na koło.

Najwidoczniej nie jest żądny wiedzy, ponieważ puszcza wykład mimo uszu.

– Pytałem o ten element. – Krzywi się, przewracając w palcach zawieszkę.

– Pierwszy raz w życiu widzisz breloczek?

– Od zawsze do łańcucha miałaś przyczepiony jakiś domek?

– Nie, na początku była jakaś kulka – odpowiadam w podobnym tonie.

– I co z nią zrobiłaś? – Luigi na bank jest ciśnieniowcem. Na jego twarzy i szyi wykwitają czerwone plamy.

– Zerwałam i wyrzuciłam, a co?

– Nic. A co oznacza ta litera? – Dotyka medalika w kształcie litery „S”.

Lubię myśleć, że symbolizuje imię – Spirito. To w końcu pierwsza litera jego imienia. Dlatego nigdy nie zdecydowałam się go oderwać. Co faktycznie oznacza? Nie mam pojęcia. Medalik jest przytwierdzony do łańcucha, odkąd go znalazłam.

– „S” jak stoicki spokój – odpowiadam po chwili namysłu.

– Oczywiście – oznajmia z lekką, niezrozumiałą dla mnie ironią. – Co tam jeszcze masz ciekawego? – Macha ręką, sugerując kobiecie, żeby szybciej wykladała moje rzeczy. Wkrótce na kontuarze ląduje pomięta marynarka, którą zapomniałam z siebie zrzucić podczas ucieczki przed kolegami Spirito. – Potrzebna ci ta brudna szmata? – dopytuje naczelnik i kiwa głową, bo witają się z nim zbiegający po schodach mężczyźni.

– Ta marynarka należy do Spirito. On jest... – przerywam i wytrzeszczam oczy, wlepiając wzrok w oddalające się sylwetki.

– Patrz na to. – Szturcham Luigiego. – Zobacz, co oni robią.

– Niby co? – Ogląda się za siebie.

– Za późno – jęczę. – Przechodzili obok, a gdy wypowiedziałam imię „Spirito”, to złapali się za ręce. Wszyscy – emocjonują się. – To wyglądało, jakby utworzyli...

– Niby co? – Repertuar pytań, jakie zadaje, jest bardzo ubogi.

– Łańcuch.

– Rozumiem – oznajmia.

Daję mu chwilę, licząc na to, że coś doda. Wypadałoby. Samo „rozumienie” to trochę za mało. Gdy nic takiego nie następuje, postanawiam pociągnąć go za język.

– Rozumiem i...? – powtarzam po nim.

– Często to, co najważniejsze, rozgrywa się za plecami. Najwidoczniej tak właśnie było w tym przypadku. Niczego nie widziałem – mówi tonem sugerującym, że zakończył dyskusję.

– A ty? – pytam gliniarza.

– Też nie. Przeglądał ulotki. – Stuka w nie palcem. – Nie mam podzielności uwagi. Już ci o tym wspominałem.

Wiem, co widziałam, choć być może to przypadek i węższą spisek tam, gdzie go nie ma. Kiedyś machnęłabym ręką i wzięła takie wytłumaczenie za pewnik. Dziś, wiedząc, ile ułatwiających życie „przypadków” zafundował mi Spirito, postanawiam przyjrzeć się tej sprawie bliżej. Mam czas.

Luigi odkłada na bok rzeczy, które wskazuję, i po raz kolejny spogląda na zegarek, wzdychając pod nosem. W momencie kiedy wyciąga z kieszeni komórkę, do instytutu wchodzi wysoki facet ubrany w kontrastujący z kolorem skóry kremowy garnitur. Ma zaplecione, spięte z tyłu głowy, afrykańskie warkoczyki i najszerszy wyszczerz, jaki w życiu widziałam.

– Haja, majambazi! – wrzeszczy i rozpościera ramiona, zmierzając w naszą stronę.

– O co mu chodzi? – pyta zdezorientowany, nie mniej niż ja, Emiliano.

– Przywitał się, mówiąc: „Dzień dobry, państwu” – oznajmia sztywno naczelnik. – Czyli to, co powinien, przybywając na spotkanie z klientem – syczy przez zęby.

– Ale smucisz, powiedziałem: „Hej, zbójce!” – poprawia go mężczyzna. – Jak się miewa nasza perełka? – rzuca lekko, a Luigi mruga, wytrzeszcza oczy, przewraca nimi. – A tobie co? – Gość zadaje mu pytanie, a następnie skupia wzrok na mnie. Kiwa głową, drapie się po skroni, milczy, jakby nagle odjęło mu mowę. Aż w końcu odzywa się do gliniarza: – Ty zapewne jesteś Emiliano?

– Tak. To ja – odpowiada dumnie. – Bardzo mi miło. Cieszę się na to spotkanie. Bardzo mi miło – powtarza podekscytowany.

Facet chwyta go za ramię i odciąga na bok. Podpisuję listę oddanych do depozytu przedmiotów. Nie spieszę się, chcąc odwlec moment odprowadzenia do celi. Pierwsze dni są najgorsze; męczące, wyczerpujące psychicznie, niejednokrotnie przesiąknięte fizycznym bólem. Mimo to wiem, że dam radę. Bo muszę.

Gdy się odwracam, Emiliano jest już na wylocie. Uradowany niczym dziecko, poklepuje wypchaną kieszeń. Nie trzeba być omnibusem, by się zorientować, że powodem tej nieskrępowanej radości bynajmniej nie jest paczka cukierków.

– To cześć, Zito. Jeszcze raz powodzenia. – Zaciska kciuki i... I tyle go widziano.

Mężczyzna przesuwając dłońmi po włosach, potrząsa ramionami, mamrocze coś, czego nie jestem do końca pewna, choć brzmi trochę jak: „Nie spieprz tego”, unosi głowę i ponownie szeroko się uśmiecha.

Podchodzi do nas, a ponieważ nie znoszę niedopowiedzeń, pytam:

– Dlaczego Emiliano tak dziwnie się zachowywał?

– Bogatego, choćby był osłem, każdy chce mieć za wujka. – Facet wygłasza jakąś mądrość i wystawia dłoń. – Tafari Boah Be... – chrząka – Farouq – przedstawia się. – Twój prawnik.

– Mój co? – wypalam prosto z mostu. – Z urzędu? Już rozpatrzono wniosek, który złożyłam kilka dni temu? – Nie dowiem się, bo zwykle na odpowiedź musiałam czekać tygodniami i zawsze była odmowna. – Rety, w takim razie ekstra. Przydasz mi się. W sensie zawsze inaczej wygląda pismo wystosowane przez prawnika z prawdziwego zdarzenia – nawijam. – Wszystko ci podyktuję. Współpracując ze mną, nie będziesz musiał się przemęczać. Rób po prostu to, co każę.

– Słucham? – pyta głucho.

– Nie są mi potrzebne twoja wiedza czy pomysły. Mam swój rozum i koncepcje. Już słyszę ten szelest banknotów i brzdęk monet. – Nabieram powietrza. – Najpierw złożymy skargę za to przenoszenie mnie z jednego miejsca w drugie. Takie działanie źle wpływa na psychikę. Czuję się niepewnie, bywam przez

to osowiała, mam destrukcyjne myśli i tak dalej. Wiesz, o co chodzi. Jesteś dobry w koloryzowaniu?

– Telefon mi wibruje – oznajmia nagle, poklepując kieszeń spodni. – Odbiorę, przy okazji zapalę, i wrócę – informuje i wychodzi, nie oglądając się za siebie.

– Ale miał dziwną minę. – Patrzę na Luigięgo.

– Trochę – mówi i zaciska usta, jakby hamował śmiech. – Po rozmowie z nim strażnik zaprowadzi cię do izolatki. Odpadnie dostawienie łóżka. Będziesz miała swoją przestrzeń. Pasuje?

Chwilę przetrawiam w myślach tę propozycję i wszystko inne, co wydarzyło się do tej pory. Nie dochodzę do żadnych racjonalnych wniosków, więc wyciągam na światło dzienne te mniej sensowne.

– Chcesz mnie przelecieć?

– Co? – rzuca z niedowierzaniem i robi krok w tył.

– Wybacz bezpośredniość, ale coś mi tu nie gra. Proponujesz mi celę na wyłączność, ni stąd, ni zowąd przybył jakiś wypacykowany prawnik, który, jestem pewna, zapłacił za coś Emilia-nowi. Miały być krwawe mury, a jest...

– Po pierwsze, nie mamy tutaj cel, lecz pokoje – przerywa moją wypowiedź. – Po drugie, nie możesz być pewna czegoś, czego nie widziałaś. To jedynie twoje przypuszczenie. Po trzecie, mury bywają krwawe tylko wtedy, gdy osadzeni nie robią tego, czego oczekują.

– Czyli dopóki będę chodzić jak w zegarku i udawać, że nie potrafię dodać dwa do dwóch, będzie mi tu jak w raj i nie zobaczę ani jednej kropli krwi?

– Właśnie – przyznaje bez ogródek i mruży oczy. – O czym myślisz tym razem?

Ta ciekawość go zgubi. Rozważam, czy postawić na odpowiedź dającą mu nadzieję, że jest w stanie coś wskórać, naprostować mnie, zresocjalizować, czy wyłożyć karty na stół. Wybieram to drugie. Nadzieje bywają złudne.

– O tym, że mamy problem – mówię w końcu. – Od pewnego czasu lubię drażnić skalę i stawiać czoła faktom. Kiedyś, gdy mieszkałam w rodzinie zastępczej, udawałam, że, mówiąc

kolokwialnie, nie czaję bazy. Do dziś źle się z tym czuję, więc wybacź, gościu, więcej nie zamierzam udawać. Możesz nakręcić ten przysłowiowy zegarek od rana do wieczora, a i tak w efekcie okaże się, że nie tyka tak, jak byś oczekiwał. Niesforna wskazówka – wbijam sobie palec w mostek – to ja.

– Wraca Tafari – oznajmia z ulgą, patrząc ponad moim ramieniem. – Ściągnąłbym ci kajdanki, ale sama naciskałaś na dostrzymywanie procedur. – Uśmiecha się przesadnie miło.

– Spoko – rzucam od niechcenia. – Potrafię dostrzec plusy tam, gdzie nie widzisz ich ty.

– Nie rozumiem.

– I nie zaczniesz, dopóki nie spojrzysz na świat moimi oczami.

Mogłam tego nie dodawać. Pogubił się, zamotał, ma taki wyraz twarzy, że niemal mi go szkoda.

Spirito
Copyright © Agnieszka Kalicka

Copyright © Wydawnictwo Inanna
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover photo by Lightfield Studios/Adobe Stock
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2023 r.

książka ISBN 978-83-7995-705-5
ebook ISBN 978-83-7995-706-4

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Anna Szymańska
Korekta: Joanna Błakita
Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Projekt okładki: Ewelina Nawara
Skład i typografia: www.proAutor.pl

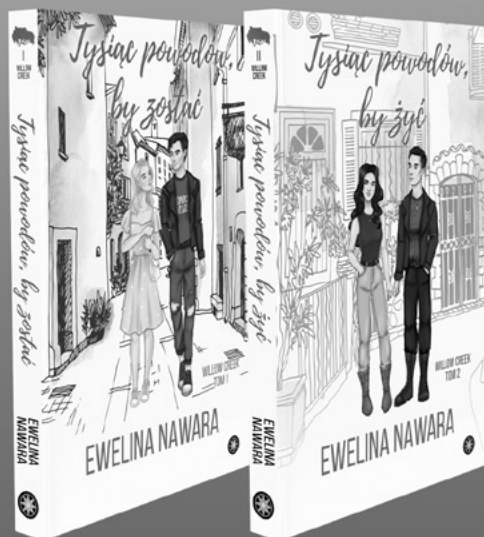
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-432 Bydgoszcz
sekretariat@inanna.pl
www.inanna.pl

Książkę i ebook najtaniej kupisz na www.inanna.pl

Pełna emocji, romantyczna seria
osadzona w małym miasteczku,
która wzruszy do łez i na długo
zostanie w pamięci!

#ROMANSWSPÓŁCZESNY
#ROMANSMAŁOMIASTECZKOWY



 Inanna

[Kup książkę](#)

Romantyczna, zabawna, pikantna.

Seria, którą pokochały Polki!

#ROMANSWSPÓŁCZESNY #GORĄCYROMANS



 Inanna

Kup książkę

To nie jest prosta romantyczna opowieść o namiętnej miłości nieśmiałej dziewczyny i gwiazdy rocka. Ta seria wciągnie cię od pierwszej strony!

#romansmuzyczny #romanswspółczesny



 Inanna

[Kup książkę](#)



Szczęście nigdy było im pisane, więc
muszą o nie tym bardziej walczyć
z całych sił.

#GORĄCYROMANS #ROMANSMAFIJNY

 Inanna

Kup książkę